Rozmaitości

Dnia 5. Listopada **Nr 45.** 1836 Roku.

OBRAZY PARYŻA.

Przez Xaw. Bronikowskiego.

VII.

NOWE PRZEDSIĘBIERSTWA.

Podobno żadna stolica nie dostarcza krajowi tyle lekarzy, ile paryzka szkoła lekarska. Ma sławnych z nauki, wymowy i zręczności nauczycieli, pierwszego rzędu zbiory naukowe, bogate uposażenie, wielką sławę i niezrównaną praktykę w ludnych, a wzorowo urządzonych szpitalach. Co rok uczęszcza do niéj trzy tysiące, mniéj więcéj uczniów. Nie tylko z Paryża, ale z Francyi całéj ciśnie się do niéj młodzież, a kraje europejskie i prawie wszystkie części świata dosyłają jéj zwolenników, chciwych nauki nieprzebranéj. Ci za powrotem rozgłaszają po całéj ziemi jéj sławę, na którą się tutaj składa wszystko, co szkołę uczynić może sławną. Pomimo, że znaczna liczba ukształconych w niéj lekarzy do swoich wraca krajów, pomimo, że wielu wychodzących z niéj Francuzów co rok puszcza się na wędrówkę, szukając zarobku na stałym lądzie i za morzami, jednakże i ta liczba, która jeszcze pozostaje, za wielką zdaje się być na Paryż, chociaż nie byłaby zbyteczną na Francyję. W istocie wiele okolic Francyi doznaje prawie niedostatku lekarzy, gdy tymczasem w Paryżu jest ich do zbytku. Z natury swojéj i z wychowania chciwy sławy i dostatków Francuz, wychodząc z imaginacyją żywą z piérwszéj w świecie szkoły, gdzie miał przed oczyma ideały wielkiéj wziętości, przykłady szybko zrobionych majątków, trudno daje się nakłonić do zasiedlenia na prowincyi, gdzie chorzy rzadsi, mniéj znakomici i mniéj hojni, niż w saméj stolicy. Woli w niéj jako lekarz, rozszérzać nieskończenie stosunki, które pozawiązywał jako uczeń, niż w małém mieście szukać nowych, których zakres łatwo może przewidzieć. Przyzwyczajony do mierzenie owoców swojéj sztuki na wielką skalę, z żalem tylko wstępuje w zawód skromny i ograniczony, a lubo często widzi przykłady, jak łatwo się z czasem rozprasza złudzenie młodego lekarza, nie daje jednak wiary obcemu doświadczeniu i uniesiony dumą, uprzedzeniem, niekiedy szlachetną ambicyją, wchodzi w zapasy z wziętością, dostatkami i losem. Ta bardzo naturalna przyczyna przepełnia Paryż lekarzami i naraża ich na smutną częstokroć przyszłość, a samą sztukę na szarlataneryję. Z innéj strony pokonywać muszą patentowani lekarze paryzcy silne przeszkody, jakie im stawiają niepatentowani ich spółzawodnicy, których tu stosunkowo pewnie więcéj, niż gdzie indziéj. Augustynkowie i Michałkowie paryzcy mają za sobą jak wszędzie łatwowierność ludzi, niepewność sztuki lekarskiéj, tajemnice przechodzące z pokolenia na pokolenie, proszki na wszystkie choroby, świadectwa chorych, opuszczonych przez prawdziwych lekarzy, taniość lekarstwa i prześladowanie trybunałów, więcéj niż potrzeba do wojowania ze stopniem akademickim i z samą nauką. Tak z dwóch stron natarczywie napastowani lekarze tutejsi bronią się wszelkiemi sposobami — nadaremnie szukając stanowiska, na którémby bezpiecznie i spokojnie chléb swój pożywać mogli. Na próżno puszczali w obieg niewczesnę myśl ograniczenia liczby lekarzy w Paryżu, opinija publiczna nie mogła się oswoić z takiém monopolium. Zużyli doniesienia dziennikarskie, afisze uliczne i zapraszania na bezpłatne kuracyje;

publiczność zbyt się oswoiła z témi sposobami. Nawet zastosowanie z ekonomii politycznéj podziału pracy do sztuki lekarskiéj, oddawanie się wyłączne jednemu gatunkowi chorób, często zawodzi ich nadzieje. Zawsze wielka ich liczba, ledwie wyżyć może z chorych; są tacy, co zostawiają w biédzie wdowy i siéroty, albo w chorobach i nieprzewidzianych nieszczęściach, są sami bez ratunku.

Ażeby zaradzić tym nieszczęściom i ocalać godność swego powołania, wezwali lekarze na pomoc ową w dzisiejszych czasach dźwignię przedsięwzięć ludzkich, ów pomysł stowarzyszenia, który w naukach, a szczególniéj w przemyśle, małémi środkami dokazuje wielkich rzeczy i dosięga celów, na innéj drodze prawie niedostępnych. Lekarze stowarzyszyli się dla pomagania sobie wzajemnie! Zjawisko nowe, zadziwiające w stanie, sławnym z niezgody i zawiści.

Prawie w jednym czasie wystąpiły nie dawno na jaw dwa podobne stowarzyszenia; jedno, zawiązane z góry przez zamożniejszych lekarzy w kształcie opiekuńczego nad stanem lekarskim jenijusza; drugie, zawiązane z dołu przez lekarzy, którym nie dostaje chorych i pieniędzy, w kształcie buntu, burzącego pomyślność arystokracyi lekarskiéj.

Pierwiastki wprost sobie przeciwne, lubo w jednakowym występujące celu, nie mogły naturalnie ani na chwilę być z sobą w zgodzie i od razu wypowiedziały sobie wojnę. Czy z niéj lekarze i ich sztuka, chorzy i nieszczęśliwi odniosą korzyść, czy bój ten długo potrwa, czy też zniknie przez sam upadek stron wojujących, trudno przewidzieć; zawsze jednak, chociażby dla osobliwości, warto tu wspomniéć o obudwu tych stowarzyszeniach.

Piérwsze zawiązało się pod nazwą: *Association de prévoyance des medecins de Paris*, pod przewodnictwem dziekana szkoły lekarskiéj; należą do niego lekarze, którym się dobrze dzieje, i którzy pochlebiają sobie, że pomocy towarzystwa nigdy potrzebować nie będą. Składki ich są prostym darem dla potrzebniejszych kolegów. Wyłączyli od swego wsparcia lekarzy nie przyjętych do ich stanu podług form przepisanych, aptékarzy, akuszerki, lekarzy nie w stolicy praktykujących i nagannego prowadzenia. Wymagają, aby żądający wsparcia, udowodnił, że tylko dla wieku, choroby, albo nieprzewidzianego nieszczęścia sam sobie nie może dać rady. Przyjęli pod szczególniejszą opiekę wdowy zasłużonych lekarzy paryzkich, którzy prócz dobrego imienia żadnego spadku nie zostawili. Towarzystwo liczy teraz 380 członków i posiada ze składek 17,000 frank.; od czasu zawiązania zgłosiło się do niego 92 potrzebnych lekarzy. Widocznie towarzystwo to nie zdoła zaradzić wszystkim nieszczęściom stanu lekarskiego, a wsparcia, poprzedzone licznémi formalnościami, zawsze są bolesne dla tego, który je przyjmuje. Oburzyło więc miłość własną uboższych lekarzy, rozjątrzyło nawet wielu pomyślnie praktykujących, którzy łaskę jego członków uważają za dumę ubliżającą koleżeństwu, i wnet utworzyła się pomiędzy jednymi i drugimi opozycyja, która przyjęła za zasadę ułatwiać sobie wzajemnie podział chorych, a nie pobiérać żadnéj jałmużny. W tym celu zawiązali się w drugie towarzystwo, i z ofiarą swoich usług wystąpili jawnie przed publicznością. Wybrali z pośród siebie radę rządzącą, i ta oznajmiła ogromnémi afiszami, że przyjmuje na choroby prenumeratę. Za dwadzieścia dwa franki, z góry zapłacone, będzie miał każdy dostarczonego lekarza przez ciąg roku, od daty złożenia prenumeraty. Zapewnie jestto dogodność dla każdego, kto się spodziewa długo chorować; ale, że złego nikt sobie nie życzy, a zatém się nie spodziéwa, więc wątpić można, iżby towarzystwo dobrze wyszło na swojéj spekulacyi. Dotychczas przynajmniéj nic nie ogłosiło o swojém powodzeniu i gdyby nie walki pismienne, wznawiane niekiedy między temi dwoma towarzystwami, nie byłoby wiadomo, czy jeszcze żyje. — Nic wprawdzie nowego tém towarzystwem lekarze nie wymyślili. Doświadczają tylko w swojéj sztuce prawdy, którą w innych przedsięwzięciach przemysłowych doradza teoryja, a potwierdza praktyka. Mieć odbyt wielki z małym procentem, korzystniéj jest, niż sprzedawać z wielkim zyskiem, a rzadko; byle tylko towar, lub przemysł, w obojgu razach, jednakowéj był dobroci. Téj trzymając się zasady rozszérzyli Anglicy wyroby swoje po całym świecie i dali pomysł albo początek, między innémi omnibusów i pism fenikowych.

Na téj saméj zasadzie zjawiają się w Paryżu ciągle nowe przedsiębierstwa. P. Emil Girardin,

który taniością swego pisma: *Journal des connaissances utiles* (6 fr. na rok), w literaturze peryjodycznéj niepolitycznéj, epokę chciał stanowić, i w rzeczy saméj do zniżenia ceny wielu pism znacznie się przyłożył, lubo sam nie najlepiéj na tém wyszedł, umyślił nie dawno zdziałać taką samą zmianę w literaturze peryjodycznéj. Dzienniki paryzkie, codziennie wychodzące, kosztują na rok 80 franków; z téj ceny opłacają za stępel 20 frank. P. Girardin spuścił swój nowozałożony dziennik *le Siecle*, takiéj saméj jak inne objętości za 40 franków na rok, czyli po odtrąceniu stępla, za 20 frank. Trzysta sześćdziesiąt wielkich arkuszy za 20 frank. (32 złp.). Taniość bezprzykładna! Obok niéj wszakże nadzwyczajna liczba prenumeratorów, może zrównoważyć wydatek z przychodem, a nawet przynieść zysk czysty. Ażeby przyciągnąć do siebie czytelników innych dzienników, używa p. Girardin z niesłychaną usilnością wszystkich środków, jakiemi nadaremnie doprowadzić chciał liczbę prenumeratorów na *Journal des connaissances* do 100,000. Afisze, nie tylko na wszystkich ulicach paryzkich, ale także na wszystkich traktach Francyi; ajenci, którzy wystawiają każdemu, kto ich chce słuchać, dobroć, taniość, korzyści tego pisma, namowy natrętne, listy prywatne do każdego, kto tylko ma 40 frank. na rok do wydania; rozsyłanie dzienników za darmo, albo na kredyt — wszystkie te sprężyny porusza p. Girardin cierpliwie, ciągle, wytrwale. Ale te usiłowania nie zapewniają jeszcze przedsięwzięciu jego pomyślnéj przyszłości; miał już z powodu samego pisma przykre spory do zniesienia, odbył pojedynek, w którym odebrał życie redaktorowi *Nationala*, sam jest ranny i ma ciągle do pokonywania liczne przeszkody, jakie mu stawiają przedsiębiercy innych dzienników, których bytowi zagroził, a nade wszystko musi je, jeźli nie przewyższyć wartością swego pisma, to przynajmniéj nie dopuścić, ażeby w ubieganiu się o piérwszą, nie było od nich pośledniéjsze; co nie łatwą jest rzeczą, bo artykuły z talentem pisane, płacą się tu bardzo drogo i często nawet za wielkie pieniądze dostać ich nie można. P. Janin bierze 500 fr. na miesiąc za recenzyje teatralne, umieszczane każdego poniedziałku w dzienniku *Journal des Debats*, a nie wynoszące nawet arkusza na cały miesiąc; ale drugich takich recenzyj, drugich takich Janinów nie dostałby w całym Paryżu za żadne pieniądze. To samo się ściąga do innych utalentowanych pisarzy. Jeźli się spekulacyja pana Girardin powiedzie, to pewnie nie dla tego, że jego *Siecle* o połowę taniéj kosztować będzie od innych dzienników, ale że jego artykuły przypadną bardziéj do smaku publiczności. Na tém polega różnica spółubiegania między przedsięwzięciami materyjalnémi, a płodami jenijuszu lub talentu. Wszelki inny towar, lubo najdoskonalszy, zawsze przez spółzawodników może być wyrobiony, zrównany, przewyższony, tylko dzieła ducha są niekiedy niezrównane.

Dziennik *Siecle*, jak każdy inny polityczny dziennik tutejszy, wyobraża jedną z opinii, dzielących dziś Francyję. Naturalnie więc zatrwożył taniością swoją nie tylko interes finansowy administracyi innych dzienników, ale zarazem obudził w zwolennikach innych opinii, obawę, aby im przeciwne myśli i rozumowania, przez dziennik tani wyznawane, zbyt się nie rozszérzały i nie brały góry. Nie ufając więc niepewności powodzenia nowego dziennika, prawie każda partyja polityczna założyła przez akcyje dla opinii swojéj nowe, codzienne i tanie pismo polityczne. Zaczęły więc wychodzić: *Journal général de France* za 48 fr.; *L'univers* za 50 fr.; *La presse* za 40 fr. na rok. Byt dawnych dzienników ośmdziesiąt frankowych jest teraz widocznie zagrożony; ale publiczność, jak na każdém inném spółubieganiu, tak na tém, nie może ponieść straty.

Od początku bieżącego roku następujące nowe pisma peryjodyczne zaczęły w Paryżu wychodzić: *Le droit*, pismo codzienne arkuszowe, poświęcone prawodawstwu i sądownictwu; *l'Hermes*, pismo miesięczne, ośmioarkuszowe, poświęcone historyi i literaturze; *la Phalange*, dziennik nowéj umiejętności społeczeńskiéj, wyłożonéj przez Fourier, przez niejaki czas przerwany, wychodzi teraz trzy razy na miesiąc w dwuarkuszowych zeszytach; *la Couronne*, dziennik literacki i muzyczny, wychodzi dwa razy na tydzień po półarkusza; *Moniteur des théâtres*, poświęcony sztuce dramatycznéj, wychodzi dwa razy na tydzień po arkuszu; *le Carousel*, dziennik mód i lekkiéj literatury, z rysunkami mód i mebli,

wychodzi co 10 dni po arkuszu; *Revue du grand monde*, pismo satyryczne i literackie, dwa razy na miesiąc po arkuszu; *l'Européen*, raz na miesiąc w czterech arkuszach, pismo filozoficzno-religijne z zasadami księdza Lamennais; *le Censeur judiciaire et financier*, wojujący raz na tydzień z adwokatami, notaryjuszami, woźnemi i poborcami; *l'Equipage*, dziennik doniesień sprzedaży, lub kupna koni i powozów, codziennie pół arkusza; *Tam-tam*, dziennik doniesień raz na tydzień w dwóch arkuszach; *Courrier d'annonces* w arkuszu lub więcéj na tydzień, zawiéra doniesienia płatne i tém się odznacza, że przyjmuje prenumeratę, czyli raczéj postnumeratę nie zgóry, ale zdołu po trzech miesiącach, i że umieszcza doniesienia porządkiem alfabetycznym, według rozmaitych profesyi.

Pomimo że każdy przedmiot tych pism nowych miał już poprzednio liczne swoje organa, przecież spółubieganie to nie zaszkodziło bynajmniej tym, które w swoim rodzaju są najlepsze. Wychodzą jak dawniéj wychodziły, i wziętość wzrasta lub się zmniejsza tylko w miarę, jak się publiczność przekonywa, że nowe spółzawodnictwo wykrywa na jaw ich zalety, lub mierność.

Takie spółubieganie jest godziwe i pożyteczne. Ale jest inne, które księgarstwu i pismiennictwu paryzkiemu wielki cios zadaje, i którego skutkom dotychczas niepodobna było zapobiedz. Mówię tu o przedrukowaniu w Belgii nowych dzieł francuzkich. Nié ma sławniejszego pisarza francuzkiego, któregoby pism w Belgii nie przedrukowano; nawet wziętsze pisma peryjodyczne, jak *Revue des deux mondes*, *Revue de Paris*, *Revue britanique*, znajdują w Belgii nieproszonych wydawców. Głównem siedliskiem tych spekulacyi jest Bruxella, gdzie nie tylko pojedyńcze osoby tą kradzieżą się trudnią, ale nawet towarzystwa w tym celu bezwstydnie się zawiązują. Nie dawno jeszcze powstały tam dwa nowe towarzystwa, publicznie przedsiębiorące przedrukowywać książki nowe sławniejszych autorów, żyjących w Paryżu. Żywiąc się cudzą, przez innego zapłaconą pracą, mając w Bruxelli druk i papiér tańszy, mogą wprowadzać w handel po jednym franku książki, które w Paryżu kosztują siedm frank. Tak zniżone wydania rozsyłają nie tylko po całéj Europie, ale nawet mają sposoby wprowadzenia ukradkowego do Francyi. Utrzymują ajentów przy boku sławnych autorów, wykradają kopije jeszcze niedrukowanych rękopisów, porozumiéwają się z wyrobnikami w drukarniach, słowem, tak urządzili swój handel, że dzieło, które przedrukowują, wychodzi w równym czasie w Bruxelli, jak w Paryżu. Nie dawno po raz piérwszy wystawiona sztuka pana Dumas: *Kean*, jeszcze nie wyszła w Paryżu, kiedy bez wiedzy autora już ją wydrukowano w Bruxelli. Takie spekulacyje pograniczne, którym ani przyjaźń dwóch sąsiedzkich rządów, ani żadna ludzka ostrożność nie może końca położyć, rujnują tutejszych wydawców i zniechęcają autorów. Prawie do rozpaczy przywiedzeni chwytają się teraz ostatecznego sposobu i zakładają w Paryżu *Towarzystwo typograficzne* z kapitałem półtora milijona franków, podzielonym w akcyje po 250 fr. każda. Towarzystwo chce tu użyć metody homeopatycznéj przeciw przedrukowywaniu, zamierzając kupować od wydawców paryzkich rękopisma nowych dzieł, w celu przedrukowywania ich w jednym czasie za granicą; tym sposobem spodziéwa się zniszczyć przedsiębierców bruxelskich i zapewnić akcyjonaryjuszom krajowym zysk, który dziś ciągną Belgijczykowie. Chce złém zaradzić złemu, z-użyć, lub zabić przedrukowywaniem przedrukowywania, wybić klin klinem.

(Dokończenie nastąpi.)

DZIEWICA Z MISSOLUNGI.

Missolunga padła w ruiny. Pod strażą walecznych rycerzy, spuszczających się ze wzgórza Aracyce dla rozproszenia Albańczyków, przeciągały głodem i bolem wycieńczone kobiéty, dzieci, starce i żołniérze ranione. Między niemi była także piękna i młoda Odaida, córka Sadima, jednego z walecznych wodzów, którzy padli w obronie miasta. Znieważenie miejsc świętych, strata krewnych, ostatnie jęki upadającéj ojczyzny, zgrozą i politowaniem napełniały duszę Odaidy poświęconéj ołtarzom świętym. Każdy krok wojska oznaczony był stratą rannego wojownika. Wiele nawet kobiét poległo, inne osłabione trudem nie mogły już iść za wojskiem i pozostały w tyle. Między témi znajdowała się córka Sadima, oblubienica Pańska. Usiadłszy przy drodze, na któréj się toczyła walka, w którąkolwiek pojrzała stronę, wszędzie widziała mord i pożogę,

wszystko wzmagało w niéj obawę. W tém od okolic Bachori podniósł się nagle tuman kurzu przed korpusem jazdy egipskiéj, który uderzył na straż odwodową, broniącą w tyle pozostałych kobiét i dzieci. Wszczęła się krwawa walka. Odaida, zabezpieczona odległością, widziała srogie okrucieństwa nieprzyjaciół. Zwlekła się nareszcie do wąwozu i tam padła na kolana, błagając Boga, aby jéj pozwolił raczéj umrzéć, niż żeby się w ręce barbarzyńców dostała! Obwinięta zasłoną, jak koszulą śmiertelną i w duchu nad ziemię już wzniesiona, krzepiła w sobie odwagę wspomnieniem swoich krewnych. Nareszcie ucichła wojenna wrzawa, a przyrodzona miłość życia zaczęła na nowo odzywać się w sercu dziewicy z Missolungi. Drżącą ręką odchyla zasłonę i rozwija długie sploty swoich kruczych warkoczy, które w nieładzie po jéj szyi spływają. Spoziéra w około siebie... wszędzie cisza grobowa. Wstaje i udaje się zwolna w okolicę Klistowy, w nadziei dostania się do klasztoru Śgo Szymona. Kiedy niekiedy wychylił się księżyc z po za obłoków i rozjaśnił niepewną drogę. Co za noc okropna! z jakąż boleścią postrzegła nieszczęsna za piérwszym brzaskiem jutrzenki, że zgubiła zasłonę, która przed nieczystym wzrokiem ją okrywała. Zaledwo uszła kilkadziesiąt kroków, już została otoczoną zgrają nikczemnych Numidyjczyków, którzy po skończonéj walce, przebiegając bojowisko, wszystkie pozostałe głowy chrześcijan w pień wycinają. Oddział ten porwał córkę Sadima i stawił ją w obozie przed Ibrahimem.

»O Boże!« rzekła nieszczęśliwa; »ty, co nie dopuściłeś, aby chrześcijańska dziewica śród chrześcijan umarła, nie dozwól przynajmniéj srogim ciemięzcom ojczyzny, burzącym twe świątynie, znieważyć oblubienicy swojéj!«

Właśnie wtenczas, gdy przyprowadzono Odaidę do Ibrahima, znajdował się w obozie jego pewien Włoch, ubrany na sposób europejski, i trzech dowódców z jego barbarzyńskiéj tłuszczy. Dumne odpowiedzi Greczynki młodéj oburzyły srogiego Muzułmana, porwał kindżał z za pasa. Jeden z dowódzców jego poskoczył przeciw niemu i zaczął prosić dla niéj o łaskę. Ibrahim się uśmiéchnął i rzekł do niego: »Widzę, że ci się podobała... dobrze, weź ją sobie; najwaleczniejszemu z mych dowódzców i najstraszniejszemu nieprzyjacielowi Greków, daruję córkę obrońcy Missolungi; weź ją sobie i zarządzaj nią, jak swym własnym majątkiem.«

Natychmiast odprowadzono Odaidę do haremu jéj pana, gdzie ją otaczały wszelkie powaby, jedna tylko wolność wzbronioną została. Ale przestrach, którego doznała nie ustąpił z jéj duszy. Dni i nocy trawiła na modlitwie i zalewała się łzami. Odaida obudziła najgorętszą miłość w swym nowym panu, i korzystając chytrze z potęgi, którą jéj nadawało to czucie, groziła, że się zabije, jeżeli najmniejszym czynem odważy się gwałt jéj zadawać. Soliman, tak się zwał dowódzca, któremu Ibrahim ją darował, przyrzekł szanować dziewicę chrześcijańską, i dotrzymał słowa. Będąc jeszcze młodym i przecudnéj postaci miał w ułożeniu swojém i sposobie postępowania taką przyjemność i delikatność, że się przez to mocno różnił od gnuśnych, srogich i despotycznych oryjentalistów. Te zalety zdziwiły Odaidę i jakieś łagodne uczucie wkradło się nieznacznie do jéj serca. Rozkoszne pomieszkanie, gdzie wszystko stało w pogotowiu na jéj skinienie, obecność i ogniste rozmowy człowieka, w którego mocy było uczynić ją najnieszczęśliwszą dziewczyną, a ten prosił ją jednak o łaskawe wejrzenie, zmiękczyły serce Odaidy i śród niebezpiecznego omamienia zabłysnął jéj jasny promień nadziei. »Solimanie!« dumała sobie nie raz dziewica, »serce moje nie może być obojętne dla czystych zapałów twoich; ale jabym chciała, aby z miłością oraz wiara moja przeszła w twe serce; abyś na obronę chrześcijan uzbroił swoje potężne ramię; jak jednę duszę mamy, tak będziemy mieli jednego Boga; obronie krzyża i sławie Grecyi poświęcę twój oręż waleczny!«

W tych dumaniach miłosnych zatapiała się często młoda Odaida, przechadzając się pod najłagodniejszém niebem, pośród mirtowych gajów i różanych krzewów pachnących.

Jednego razu zmorzył ją sen w ogrodzie i zasnęła; obudziwszy się ujrzała u nóg swojego władzcę, który z pana został jéj niewolnikiem: »Odaido!« zawołał, »od twojéj miłości życie moje zawisło; tyś jest droższa dla mnie nad wszelkie łaski Ibrahima i nad skarby sułtana... Powiedz Odaido, co mam uczynić, abyś mi sama siebie dobrowolnie oddała?« Odaida, przeniknięna boskiém natchnieniem i przekonana o szczeréj niezmyślonéj miłości jego, wyznała swą przychylność szczęśliwemu Solimanowi. Ale ten zawołał powtórnie: »Powiedz, rozkaż! co mam uczynić?«

»Bronić chrześcijan, których ty prześladujesz;« rzekła dziewica, »małżonek Odaidy powinien być jéj bratem; gdy cię wprowadzę w święte tajemnice wiary naszéj, musisz przysięgnąć na ten święty krzyż Zbawiciela naszego...«

»Nie kończ Odaido!... ja mam być obrońcą Greków? ja, który najpiérwéj uczyłem Turków kunsztu pokonywania nieprzyjaciel koranu! Ja na ten krzyż miałbym przysięgać!... A wiészże ty, kto ja jestem?« Powstał, twarz jego zmieniła bladość pochmurna, drżący na całém ciele z przestrachem poziérał na święty krzyż chrześcijań-

skiego Boga. Odaida będąc zmieszana, nie śmiała podnieść oczu na Solimana. »Wieszli ty,« mówił daléj, »że ja wyrzekłem się i ojczyzny i Boga; ja jestem odszczepieniec, renegat Selves!«

»O nieszczęsny!« zawoła Odaida, słoniąc sobie twarz rękoma, »uciekaj! uciekaj przeniewierco! Francuz, zrodzony śród walecznego narodu, garść nikczemnego złota wymogła na tobie, żeś podniósł broń przeciw dzieciom wolności świętéj! Wrogu! prześladowco ojczyzny mojéj i własnego narodu!... Ach! jakiéjżem godna kary za to, żem upatrywała cnoty w człowieku, który już wszelkie cnoty zdeptał nogami!...« Odaida wybiegła na szczyt skały, otaczającéj ogród Solimana, i jakby nad przepaścią wisząca, wyciągnąwszy dłonie przeciw Solimanowi, tak mu rzecze: »Jeżeli tylko na krok się zbliżysz, natychmiast rzucę się na sterczące skały śród wodospadu. Selves, odszczepieńcze! Imię twoje przeklinane będzie od nieszczęśliwych Greków i walecznych Francuzów, których synowie walczą w naszych szeregach. Hańbą napiętnowana waleczność twoja przechodzić będzie z ust do ust, od pokolenia do pokolenia. Bez czci i bez sławy, jako nikczemny zbieg, zginiesz w obcych szeregach... Selves! żal jest także cnotą w człowieku: powróć, powróć na łono honoru i wiary świętéj; my nie możemy żyć dla siebie, ale staraj się przynajmniéj, abym się nad tobą litować, abym sama sobie przebaczyć mogła, żem cię kiedyś kochała!«

Zaledwo Odaida te rzekła słowa, już od niewidzialnéj ręki puszczona strzała świszczy w powietrzu, i przebija jéj serce. Odaida upada, a ciało jéj, lecąc z jednéj skały na drugą, zdruzgotane i krwią zbryzgane zapada w głąb przepaści. Naczelny wódz Ibrahim, uwiadomiony o miłości Solimana ku młodéj Greczynce, rozkazał szpiegować go nawet pośród jego haremu; byłato ręka syna Alego, która wypuściła nieszczęsną strzałę. Selves był potrzebny, dla tego Ibrahim ochronił go od śmierci: »Ty więc chciałeś mnie zdradzić dla jednéj kobiéty?« rzecze do niego; »niech ci prorok przebaczy; ale abyś więcéj nigdy nie brał niewolnicy greckiéj do swojego haremu; prędzéj lub późniéj panowałaby nad tobą, gdy przeciwnie ty nad niewolnicami panować powinieneś.«

W ponurém milczeniu słuchał Selves jego nauki; uniesiony myślą szlachetną chciał się pomścić Grecyi i Odaidy. Ale Ibrahim mówił mu o bogactwie, o nowych dostojeństwach, a tak człowiek ten, co temu bałwanowi honor i ojczyznę zaprzedał, zapomniał wkrótce o zemście i o dziewicy z Missolungi.

O NOWÉM, DRAMATYCZNÉM DZIELE
mającém być przedstawioném na scenie polskiéj
we Lwowie.

Józef Korzeniowski, profesor literatury polskiéj byłych szkół Krzemienieckich, a teraz profesor literatury starożytnéj w uniwersytecie Kijowskim, znany publiczności, prócz innych pism jego, z dzieł dramatycznych, napisał dramat w 1. akcie, i dał mu nazwę: *Piąty akt.*

Jeżeli zważymy wszystkie dzieła dramatyczne tego pisarza, które już drukiem wyszły, i poźniejsze, które jeszcze dotąd, można mówić z krzywdą sławy narodowéj, w rękopismach pozostają; nie możemy nie przyznać, iż twórczość jego stopniowo w coraz piękniejszą rozmaga się doskonałość, a to nie tylko pod względem formy, organizacyi, ale i duszy, która tę formę przenika, i życiem wypełnia. W jego dziełach wywnętrza się tajne ziarno człowieństwa rozciennym uczuć promieniem, umysłowość trzyma górę, afekty są skromione, i wszystko rozwija się genetycznie w jednotę plastyczną. Jego dzieła możnaby powiedzieć więcéj galwanizują, niż roziskrzają, lecz jakże błogie przejmuje nas uczucie pod tą operacyją!

P. Korzeniowski napisał nowy dramat i dał mu miano: *Piąty akt;* więc dopuszcza, że mu już świat wszedny cztéry odegrał, uznał, iż nie warto było rzecz w pięć części dzielić, kiedy w jednéj, ostatniéj, można wszystko z pomyślnym skutkiem wykonać; dał nam do poznania, na co nudzić **cztérema**, kiedy **jednym** zadowolnić, większą jest sztuką. P. Korzeniowski zaciął w koniec, i zrobił początek, środek, i koniec w końcu. W tym tedy małym zégarku mają uderzyć wszystkie godziny umnictwa dramatycznego. Ale mógłby ktoś rzec: »Jako? piąty akt, a jeszcze traicznego tonu, miałby zadość uczynić wszystkim względom? ten skopuł żeglugi autorskiéj, ten złom katastrofy, to wiszące słońce nad krawędzią zapadu, ta urna, ta apoteoza? Jużto nie Zenit, jużto nie walka wrzących namiętności, jużto nie bój zawziętych sił — jużto skonanie. Jużto pogrzeb konieczcnéj natury, a zwycięztwo wolnego ducha. I pocóż nas autor na piąty akt zaprasza? Możemyż pochwalić wywód rzeczy, kiedy jéj źródła nie znamy? Już tu aktorom gorąco wygłaszać nie wolno, już tu wszystko skrzepłe, bierne, cierpne, ale nie rozczyniające; już tu nie Febus, ale blada Luna; już tu Laokoon przestał boleć, Niobe z bogami się pojednała.....«

To wszystko prawda, ale proszę przyjść i uczuć, jak wiele w małym węzełku do rozwinięcia, a jak to małe w wielość misternie rozwinięte! Cztéry osób tylko dzierga tę dramatyczną tkankę, miłość, honor, cnota są jéj deseniem, a cały kwiat umniczy roście z serca człowieczego; jest on pełen gorącego życia, ale jakże się łagodnie upośrednia przemianą barw, a zdążywszy w kres kulminacyi, jak się miło lazuruje eterem idealnéj piękności. **Obłok smysłowości znika, oko ducha ma idealny wid.** *Vix ea fatus, cum circumfusa repente scindit se nubes, et in aethera purgat apertum.*

* * *

Z Pragi. Wyszły tu podczas świetnego obrzędu koronacyjnego następujące pisma: *Jego Ces. Miłości Ferdynandowi, królowi czeskiemu, na cześć przyjazdu, witania, ślubu wierności a koronowania na królestwo czeskie,* w Pradze, czcionkami J. Host. Pospiszyla 1836 (po czesku, wiersz Wacława Hanki). — *Głosy duchowieństwa do J. C. K. Mości Ferdynanda i Maryi Anny przy wspaniałości koronacyjnéj w Pradze d. 7. i d. 12go września 1836; poświęca Wacław M. Peszyna, kanonik katedry Śgo Wita, kaznodzieja czeski, redaktor Czasopisu dla katolickiego duchowieństwa.* — Zbiór wiérszy czeskich X, z tłumaczeniem obok niemieckiém, jako to: I) M. Prochaski, II) J. G. Marka, III) prof. Smietany

IV) prof. A. Seyndelarza, V) W. Stulca, VI) W. Winarzyckiego, VII) J. Hawełka, VIII) Fr. Wacka, IX) Jos. Hołaska, X) M. Klaczeta, z tłumaczeniem od Jana Siki. Na czele rycina, przedstawiająca namaszczenie Saula. Napis dzieła ozdobny i piękne wydanie, w końcu koronacyjnych klejnotów król. czeskiego arkuszowa rycina. — *Spis osób król. czeskiego towarzystwa umiejętności, gdy na dniu 14. wrześ. 1836, w przytomności J. C. K. Mości Ferdynanda I. pierwszy 50letni świetny obchód w publicznem posiedzeniu odbyty został* (ułożony według porządku przyjęcia członków); po niemiecku, z dołączonym programem tegoż posiedzenia i czytanemi rozprawami: 1) Wstępna mowa hr. Kolowrata-Liebszteinskiego, ministra stanu i rady Państwa, tudzież prezydenta towarzystwa. 2) Historyczny przegląd dotychczasowego działania towarzystwa; przez dr. Kaline z Jäthensztcinu, sekretarza towarzystwa. 3) Czeskie drogie kamienie; od prof. F. X. M. Zippego. 4) Najdawniejsza epoka pięknych sztuk w Czechach; od F. Palackiego, tymczasowego dyrektora towarzystwa. 5) O tworzeniu się kryształu upałem słonecznym; od prof. A. Pleszlà. 6) Czeskie koronacyjne medale; od biblijotekarza W. Hanki, (w Pradze 1836). Wszystkie te pisma w 4tce. (Dokoń. nastąpi.) *A.*

Z Warszawy. Nakładem Aug. Em. Gliksberga w Warszawie i T. Gliksberga w Wilnie, wyszedł z druku zeszyt 13sty (pierwszy tomu IIgo) dzieła, pod tytułem: *Encyklopedyja powszechna, zbiór wiadomości najpotrzebniejszych dla wszystkich stanów.* Zeszyt ten zawiera znaczniejsze artykuły: *Annometr, Anewryzma, Angaria, Angielska literatura i język.* Do tego zeszytu dołączony jest bardzo trafiony i prześlicznie na stali ryty portret Napoleona. (K. W.)

Stan dramatu we Francyi. Nowa francuzka literatura teatralna coraz błędniejszą idzie drogą. Poeta nie stara się już umysł zachwycać i bawić, lecz tylko nasycać oczy; nie dba oto, że popełnia błędy przeciw zdrowemu rozumowi, byle te błędy podały sposobność rozwinięcia talentów maszyniście, a przepychu kostiumów, krawcowi teatralnemu. Autor sztuki nie jest tam poetą, lecz nim jest malarz dekoracyjny, maszynista, a nawet krawiec; tak dalece, że wkrótce o jakiej nowéj sztuce inaczéj mówić nie będą, jak: »Dekoracyje były przepyszne, pan N. bardzo trafnie dobiera dla siebie kostiumu, pani N. była wzorem najgustowniejszéj toalety.« *Don Juan de Marana* Alex. Dumasa świeżym jest przykładem téj maszyneryi literackiéj; lecz to nic jeszcze w porównaniu z nowym dramatem: *Les maudit des mers*, który mnóstwo ludu ściąga do *Cirque olimpique* w Paryżu. Treść tego utworu następująca: Jakiś holenderski żeglarz, dumny i mężny, podczas burzy przeklina niebo, a niebo nawzajem przeklina żeglarza. Niebawem na spienionych bałwanach pokazuje się płomienisty okręt. Majtkowie na nim, są to całe diabły, a chłopcy okrętowi małe diabełki. Cała załoga trzyma pochodnie w ręku; burza miota tam i sam okrętem; bałwany rozbijają się jak na oceanie; naśladownictwo równa się rzeczywistości; złudzenie jest najdoskonalsze, za pomocą cudów optyki. Nie jesteśmy już w teatrze, lecz w dioramie. W skutek przekleństwa, ów żeglarz tak długo musi błąkać się na morzu, aż pokąd litośna dusza modlić się za jego duszę nie będzie. Że zaś niebo dosyć jest wyrozumiałe, przeto pozwala mu raz w sto lat, dzień jeden przepędzać na lądzie, dla znalezienia wybawcy. Ztądto między każdym aktem sto lat różnicy czasu zachodzi; sceny powszechnie są uderzające, żywe działanie, koniec niespodziewany. Najprzód przenosimy się z Pizarrem do Peru; potém z Wilhelmem Nassau do Flandryi, daléj z Washingtonem w Zjedn. Stanach, a nakoniec z młodą dziewczyną w francuzkich osadach; dziewczyna modli się za niego, nawalnia go i oddaje mu rękę. Teraz dopiéro, jako sporność (kontrast) z piekielnym okrętem pojawia się niebiańska nawa; już nie ma orkanów, tylko błękit pogodny i ciche morze; miasto szatanów, cherubiny ze skrzydełkami perłowéj macicy, a miasto przekleństw, hymny anielskie!

Obelisk Luxorski, który teraz ma być postawiony w Paryżu, zaczęty był pod panowaniem Ramsesa II., króla Egiptu, a ukończony za panowania jego brata, Ramsesa III. Sezostrysem Wielkim zwanego. Cztéry wsie zajmują teraz małą cząstkę obwodu dawnych Tebów, rozciągających się niegdy w nizinie po obu stronach Nilu, aż do gór, na których rzeczony obelisk, razem z drugim, opiérał się burzom czasu przed bramami w gruzach zapadłéj świątyni. Miano: obelisk Luxorski, czyli Louxorski, pochodzi od wsi tego imienia, leżącéj razem z Karnak w części wschodniéj, a Gournon i Medinet-Abu w części zachodniéj obwodu Tebów. Wszystkie budowle, otaczające te miejsca mają na sobie piętna olbrzymiéj wielkości. Luxor oddalony jest 25 mil od Kahiry, stolicy wyższego Egiptu. W r. 1831 dostał francuzki rząd od baszy Egiptu pozwolenie przewiezienia jednego z tych dwu obelisków do Europy. Należy tu przytoczyć, że za czasu Faraonów było zwyczajem stawiać takowe obeliski przed świątyniami bogów, albo przed pałacami królów, jako znamiona wdzięczności i uszanowania. Obelisk, znajdujący się teraz w Paryżu jeden z najmniejszych, wyciosany jest z jednostajnéj massy granitowéj, ma 72 stóp wysokości i waży 500,000 funtów. Trzy poprzeczne rzędy hieroglifów okrywają jego powierzchnię, rząd środkowy wryty jest aż do głębokości 15stu centymetrów, dwa zaś poboczne zaledwo są wryte. Na wszystkich czterech stronach znajdują się imiona i przezwiska Serostrysa, podobnież jego pochwała i krótkie opisanie jego czynów. Części zwierząt, roślin i ludzie, które na nich widzieć się dają, są to właśnie hieroglify egipskie, przeznaczenie monumentu oznaczające. Tym sposobem znamiona te objawiają nam czyny dwóch królów. Według świadectwa ich, Ramses II. kazał rzeczony obelisk wyrąbać z pieczar Syeny i do Tebów sprowadzić; lecz ponieważ go śmierć zaskoczyła, brat ukończył budowę i kazał wszędzie; gdzie tylko było miejsce, nawet na podstawie, wyryć swoje nazwisko. Panowanie Ramsesa II. przypada około 1850 przed narodzeniem Chrystusa. Na płaskorzeźbie ofiary widać Sezostrysa z Pschentem, ze znamieniem jego władzy nad Egiptem wyższym i niższym, mającego nad swoja głowa słonce skrzydlate, jak ofiaruje wino wielkiemu bogu Tebów, Amonra. Na prawéj stronie znajduje się napis: »Imię twoje jest tak wieczne, jak niebo; trwałość życia twego podobna jest do trwałości okręgu słońca.« Ztąd można poznać, że świat dawny miał także swych pochlebców, równie jak dzisiejszy, tylko dzisiejsi są nikczemniejszymi, nie stawiają już obelisków. Ktoby sobie życzył poznać wszystkie napisy tego monumentu, może przeczytać opisania ich przez Champolliona, biblijotekarza królewskiego. Wielu cesarzów rzymskich, jak August, Kaliguła, Konstanty zamyślało już dawno o przewiezieniu obelisków, papież Sixtus V. był piérwszy, który postawić je kazał; 800 ludzi, 24 koni, 100 lin kręconych, mnóstwo robotników ciesielskich towarzyszyło téj operacyi, która wszakże w swym czasie za cud uważana była. Z doniesień poprzedniczych znana jest publiczności maszyneryja ziemiomiercy Lebara, równie jak zręczność i czynność porucznika marynarki Verninbac, którzy w górę Nilu sterowali okrętem luxorskim, zbudowanym w Tulonie, a potém z nadmienionym ładunkiem przepłynęli Morze Śródziemne i Ocean. Ten sam okręt udawał się także do Bretagne dla przywiezienia z pod Lobar kamienia na podstawę. Pięć rzniętych i we Francyi wygładzonych brył granitowych,

formować będą bezprzecznie najpiękniejszy w tym rodzaju piedestał w Europie. Jedna z tych brył ma 15 stóp długości, a 9 stóp szerokości. Cała wysokość podstawy wynosi stóp 28. Na jednéj stronie widać z natury uformowany słój (żyłowatość) rybę przedstawiający.

Abbé Moliere, byłto człowiek prosto-duszny, bez wszelkiego uprzedzenia, nie znający świata, nie żyjący ni dla siebie, ni dla nikogo, zawsze zamyślony i w filozofii Deskarta zaciekły. Byłoto jego zwyczajem w zimie z niedostatku opału leżeć na pół-rozebrano w łóżku, i czytać i pisać. Pewnego dnia z południa leży on w ten sposób w łóżku, gdy ktoś do drzwi zakołatał: »Któż tam?« — »Proszę otworzyć!« Abbé pociągnął sznurek, drzwi się otworzyły, a jakiś podejrzanego lica człowiek wszedł do izby. »Któż acan?« zapytał go Abbé, nie spojrzawszy na niego, i ciągle pisząc z gorliwością. »Proszę mi dać pieniędzy.« — »Pieniędzy?« — »Proszę nie robić korowodów.« — »Aha! jak uważam acan jesteś złodziej.« — »Złodziej lub nie, ale muszę mieć pieniądze.« — »No, no, mniejsza oto, proszę sobie wyjąć klucz.« To mówiąc i przestając pisać, wysunął się Abbé leżący, ile mógł z łóżka, wyciągnął szyję i nadstawił złodziejowi głowę z pludrami, których w braku szlafmicy zwykle używał. Złodziej szuka chciwie w kieszeni, lecz nic nie znajduje. »Tu nie ma klucza.« — »Nie ma? a to boskie skaranie! więc szukaj acan tu.« To mówiąc obrócił mu inną stronę głowy. »A teraz otwórz acan tę tam komodę. W trzeciéj szufladzie.« Złodziej wyciągnął inną szufladę. »Do wszystkich czartów! daj acan téj szufladzie pokój, tam są moje rękopisma! W trzeciéj szufladzie, na prawo; tam znajdziesz kilka franków.« — »Czyto wszystko?« — »Jeszcze się pyta! a juści, że wszystko. Zamknijże acan komodę.« Tego już złodziej nie wykonał i drapnął, co mu ducha stało. »Ależ bądź tyle grzeczny i zamknij przynajmniej drzwi!« Złodziej był już na wschodach. »Co to za hultaj ten pan złodziéj! Muszę wstać śród takiego zimna drzwi zamknąć! Czy kto słyszał o takiéj niegrzeczności.« To mówiąc wstał, zatrzasnął drzwi i położywszy się w łóżko zaczął znowu gryzmolić, aż pióro trzeszczało.

Jestto zwyczaj upowszechniony między osobami wszelkiego stanu, że ilekroć wydarzy się im spomnieć wierzyciela, wyrywa się im nieświadomo prawie uszczypliwy przymiotnik: zatwardziały, łakomy, nielitościwy; gdy przeciwnie każdego niemal dłużnika, biednym, nieszczęśliwym mianują. Zwyczaj ten zdaje się polegać na bardzo fałszywych przypuszczeniach, i jest zupełnie niesłuszny. Pewien autor, oburzywszy się na taką niesprawiedliwość, tak do dłużników przemawia: Nim twego wierzyciela poniżysz, i jako zatrwardziałego oczernisz, zastanów się wpierw dobrze, ileś mu dłużen, jak długo ci już czeka, jak bardzo musi on być potrzebny, i ilekroć już ciebie napominał. Zapewne, każdy z nas umiałby między swoimi znajomymi wymienić wielu takich, którzy mają wstręt nieprzezwyciężony, dopominania się o to, co im się u drugich należy, takich, którzyby woleli sami pożyczyć, a nawet żebrać, niżeli odegrać nieślachetną rolę zimnodusznych domagaczy. Liczba tych, co niechętnie napominają, wyrównywa liczbie tych, co niechętnie płacą. Zapytajmy ludzi, którzy się skarzą na to, że zatwardziałość lub ohydne prześladowanie ze strony wierzycieli, przyprawiły ich o zgubę. Dopytajmy ich jeno do końca, a znajdziemy, że tylko jeden wierzyciel, przez swoją nienawiść lub nierozum sprawcą jest tego nieszczęścia, a wszyscy inni są dla dłużników swoich łagodnymi, uprzejmymi i cierpliwymi. Powiadam wam to, i niech mi się niewdzięcznicy jak chcą sprzeciwiają: wierzyciel jest zhańbionym, zpotwarzanym aniołem. Pełni on trzy największe cnoty, z kolei, jednę po drugiéj: zaczyna wiarą, skoro ta zniknie, trzyma się przez czas najdłuższy nadziei, a gdy i ta zleci, uspakaja się zwolna tém przeświadczeniem, że z miłości bliźniego wiele działał. Przez cały żywot wierzy on ludziom swoje dobro, a ci w odwdzięke nic mu nie wierzą. Spuszcza on się na rzetelność swoich bliźnich, a ci mogą się spuścić na — jego szczodrość.

Na przedmieściu krakowskiém w Warszawie pokazują od niewielu tygodni, oswojonego dzika, nadzwyczajnej wielkości. To rzadkie zwierzę złowione w dobrach Zamojskiego Podzamcze, zawieziono wodą żywe do Warszawy; jest ono dla badaczów natury zjawieniem bardzo ciekawém, albowiem ani w Polszcze, ani w najodleglejszych krajach nie widziano dotąd egzemplarza takiego rodzaju. Pomimo chudość swoję waży ono 881 1/2 funtów, jest 2 1/2 łokcia wysokie, więcéj 4 łokci długie, a lat 3 stare. Przy swojéj ociężałości potrzebuje ćwierć godziny czasu, aby się na nogi podniosło, i tyleż czasu, aby się położyło, któraто procedura tylko się cztéry razy z niém odbywa. Z resztą, zwierzę to tak dalece jest oswojone, że pokarm bierze z rąk swego dozorcy.

Pokrzywa może słusznie przez wzgląd na jéj wieloraki użytek, zająć miejsce w herbie Szkocyi. Tomasz Campbel opowiada, że pokrzywkę jadł, na pleciokach z pokrzywki spał, i jadł przy stołach, zakrytych płótnami z pokrzywek. Młoda i miękka pokrzywka jest wyborną rośliną kuchenną, a jéj łodygi dostarczają włókna tak tęgiego, jak len, ba nawet gospodynie szkockie dają powyższym pierwszeństwo.

Gdy sławny Schaftesbury po raz piérwszy w izbie niższéj miał mówić za bilem przyzwalającym obrońcę oskarżonemu o zdradę stanu, tak się mocno zmieszał, iż zapomniał całkiem, pracowicie ułożoną mowę, i nie wiedział, co miał powiedzieć; lecz nie stracił on bynajmniéj przytomności umysłu, i użył nawet tego przypadku do swego zamiaru. »Jeżeli ja,« rzekł, »który nie jestem oskarżony w takiém, jestem pomieszaniu, że nie wiém, co mam mówić, jakże możecie żądać, aby ten bronił sam siebie, którego na śmierć oskarżono.« Ten argument nawiasowy więcéj skutkował, niż najlepsza mowa.

Przypadek na scenie. Pewien sławny dramatyczny artysta wystąpił po raz piérwszy w pewnym mieście w roli poważnego starca. Do kostiumu swego potrzebował koniecznie peruki z harbajtlem, któréj fryzyjer jak na nieszczęście na doręczu nie miał, i ledwie gdzieś na strychu przypadkiem wynalazłszy, artystę zniecierpliwionego w nią ubrał. Podniesiono zasłonę. Artysta odbiéra huczne oklaski; łzy płyną atramieniami, ale śród scen najtkliwszych, mimo swoje uniesienie, uczuwa grający, że go coś za harbajtel skubie. Spojrzał roziskrzoném okiem na aktora, który grał jego syna, mniemał, iż ten mu taką czyni psotę. Syn nie wié o co ojcu chodzi; obadwaj grają, ale peruka na ojca głowie nie chce statkować. »Przestań wćpan do licha, albo go piorun trzaśnie!« szepce ojciec synowi; syn klęczy przed ojcem i pojąć nie może, czego się ojciec dąsa, zwłaszcza, że tego w jego roli nie było. Nie długo trwało, aż tu harbajtel z tyłu, grającemu ojcu na czoło wyłazi. Mniemając, że to jest swawolna ręka syna, chwyta ojciec za harbajtel, ale uczuwszy, że się w nim coś żywego rusza, ciska perukę o podłogę, która dla dokończenia dziwu, jakby mała taradajka, spieszno za kulisę się potoczyła. Dopiéro teraz odkryło się wszystko; głodna mysz zakwaterowała się w harbajtel, a objadłszy się pudru, nie mogła się wydobyć tą dziurką, którą weń wlazła, a tak wysunąwszy się tylko przez połowę, potoczyła za sobą perukę. Drażliwych nerwów aktorka, zobaczywszy mysz, wrzasła okropnie, i omdlała; dramat najtkliwszy zakończył się śmiechem.

Redaktor Jan: Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.